SPORT SZKOLNY



TYGODNIK
ROK 1. NR 18
13-1-38 GR 20















Na lewo od góry: Start amerykańskiego wyścigu parami — w Warszawie.

Groźny moment pod bramką Łodzi podczas meczu z Poznaniem.

Reprezentacja Łotwy, która przegrała z Polską 1:2.

Grupa najmłodsza kursów Pol. Zw. Wych. Fiz. w Zakopanem.

Z prawej: Zawodnicy czekają na swoją kolejkę na Krokwi w Zakopanem. Od lewej: Jan Marusarz, Czerniak, Marian Zając.

Z turnieju Krynickiego. Kanadyjczyk Mac Quade (z prawej) strzela bramkę Cracovii.

Fragment z meczu Polska—Łotwa.

NARTY

Uparł się we mnie cieniem srebrzystym
odlot limb w kobzy zaklęty halnym.
palmy smrekowe — sztafety leśne
wpadły ubrane w słońca kaptury.

białe komary błyszczą żądłami,
rtęć termometrów wbijają w ziemię.
uśmiech na ustach zawisł marmurem
nad swetrów krzykiem biało-czerwonym.

ręce na szczudłach rytmem biczują
twardy trud — prędzej — wiatr oczy ludziom
otarł, wiatr zawisł, osiadł wiatr w miejscu —
prędzej — z zmęczenia nim się rozbudzi —

prędzej — tryskają fontanny — prędzej —
szkło się rozprysło w strzałach rąk — prędzej —
w pogoń za myślą — prędzej — kristianią
rozwijaj przędzę zwycięstwa!

— — — — — —

nie mogę odejść od ciebie
wędrowcu ukryty w śniegi:
jak słońce — by nie powrócić
pełne słodyczy po brzegi...

H. Regni.

TO MARSZ ZWYCIĘZCÓW

„**Polska młodzież sportowa powinna sama wyrobić sobie własne pojęcia życia sportowego i własnego ducha**".

Te słowa rzucone przez redakcję „Sportu Szkolnego" we wrześniu ubiegłego roku, stały się dewizą pisma. Co więcej, zostały przyjęte z aplauzem przez samą młodzież, czego wyrazem było kilkadziesiąt świetnych artykułów, starających się pogłębić stosunek młodzieży do zagadnień sportowych. Apel redakcji nie pozostał — jak to często bywa — „głosem wołającego na puszczy". **Dziś młodzież sama poczyna urabiać własne pojęcia życia sportowego i ducha sportowego, dając tym dowód zrozumienia i poczucia ważności sportu w życiu młodzieży szkolnej.**

Życie sportowe rozwija się coraz bujniej we wszystkich zakątkach Rzeczypospolitej. Trudno w wieku dwudziestym stronić i „ustrzec" się od sportu. Jest on walką, której instynkt wszak drzemie w każdym z nas od chwili istnienia człowieka na ziemi. Trzeba dodać, że jest on walką szlachetną i taką pozostać musi.

Wszyscy Koledzy, pisząc swe artykuły wysuwali przede wszystkim na plan pierwszy cechy dodatnie życia sportowego, dodając natomiast nieśmiałe wzmianki o rzeczywistych bolączkach sportu, które przecież trzeba i należy usunąć. Nie godzi się, nie można wprost o nich zapomnieć i przemilczeć. Nie mamy się czego wstydzić! Przecież każda idea, będąca w swoich założeniach najszlachetniejszą, bywa wypaczona przez ludzi niskich, mających na względzie jedynie własne dobro, nie licząc się z opinią reszty. My nie możemy milczeć! Tego zabrania nam dobro Ojczyzny i troska o młodzież sportową.

Ta młodzież sportowa musi być przede wszystkim ideową. Nie może być mowy o takich twierdzeniach jak np.: „X jest sportowcem — ma byt zapewniony. Prezes Nadymalski wyrobi mu posadkę, bo przecież on jest sportowcem!" Sprawę „pozornego" amatorstwa wysuwam na plan pierwszy. Gdy wyjdziemy ze szkoły i wstąpimy do klubu sportowego, sprawa ta będzie niezwykle aktualna. **A tylko szkoła może wyrobić w nas poczucie ideowości. Nie łudźmy się, że gdy będziemy starsi, to zrozumiemy lepiej istotną wartość sportu. Musimy wszyscy nabrać teraz poczucia ideowości!** Wychodząc w świat powinniśmy stać się gorącymi rzecznikami sportu ideowego. Niech sportowcem będzie nazywany tylko ideowiec. **Nie można profanować takiej idei jak idea sportowa.** Tzw. „sport zawodowy" staje się wyłącznie źródłem zarobkowania, może nieco szlachetniejszym niż inne źródła zarobku. Dążenie do

ideału zostaje zastąpione dążeniem do uzyskania takiego lub innego wyniku. bo tego wymaga publiczność: „płacę — wymagam!“ W ostateczności „sport zawodowy“ prowadzi do szkodliwej rekordomanii.

Jednak rekordu nie można negować. Istotną wartością rekordu — jak pisze p. Krzyżanowski — jest postęp w rozwoju sprawności i dzielności danego osobnika.

Czy można jeszcze wybierać? Nasza droga prowadzi do ideału. do sharmonizowania Siły i Piękna. Przez siłę jednostki do siły Narodu. Kto chce być godny zaszczytnej nazwy sportowca, niech z nami podąża ramię do ramienia. Sztandarem naszym: idea!

Drugą sprawą, wymagającą jeszcze większego wysiłku woli jest — sprawa zachowywania się zawodników, zagadnienie kultury duchowej. Bo kultura to nie drogi bite, to nie rozwinięta sieć dróg kolejowych, ani zasobność mieszkańców danego kraju! Sam człowiek stanowi kulturę, a nam daleko do ideału...[1])

Coraz częstsze bójki na boiskach, coraz częstsze wypadki bicia sędziego lub graczy — nie dowodzą chyba kultury. Zwycięstwo danej drużyny nie dowodzi jeszcze jej istotnej wartości. Nie ma się więc czego nadzwyczaj radować. triumfować. Przegrana nie dowodzi bynajmniej spadku formy drużyny. Aby się zemścić przegrani aranżują mecz przy pomocy lasek, stołków, parasolek, ba zdarza się nawet, że wchodzą w użycie łomy żelazne. Zwycięscy schodzą z boiska miast „z tarczą, to na tarczy“. „Sprawiedliwości“ stało się zadość! Nazajutrz pisma zaczną biadać nad rozwydrzeniem sportowców. Głosy ich jednak przejdą bez echa. Za tydzień znów powtórzą się te same wypadki z tą tylko różnicą, że sędziego odwiozą do szpitala. „Takie urozmaicenie!“.

Bądźmy karnymi! Rozgrywając mecz, poddajemy się arbitrażowi sędziego. Czy jego wyroki są słuszne czy nie, to nas nie obchodzi. Musimy się nauczyć dyscypliny! Nie można się tłumaczyć tym, że sędzia „kalosz“... Nie można przecież żądać doraźnej sprawiedliwości; zaczyna coraz bardziej triumfować prawo lynchu.

Nauczmy się przegrywać! Wydaje to się tak paradoksalnym twierdzeniem. iż mimowoli wywołuje uśmiech na ustach. Przegrywać? Tak. Trzeba godnie zachować się w razie zwycięstwa lub w razie porażki.

Zacznijmy od nas samych. Wielokrotnie zdarzały się wypadki, że gracze zarzucali sędziemu stronniczość (!). Orzeczenia arbitra nie były wykonywane. Gracze, których usunięto, zostawali na boisku, ignorując w dodatku orzeczenia sędziego. Jeżeli my nie wyplenimy tych błędów u siebie, to niebawem powstanie przysłowie: „niekarny jak polski sportowiec!“.

Kto wie, czy ta niekarność z jednej strony, zaś brak ideowości u pewnej garstki młodzieży sportowej z drugiej strony, nie są powodem niechęci starszych do sportu. Wypleniając swoje wady, przyczyniamy się do uznania sportu za ważny czynnik wychowawczy, usuwając zarazem ową niechęć starszych do tej dziedziny życia. Rzucam hasło kol. B. K. (nr 16-17): „Bądźmy prawdziwymi sportowcami!“

Koledzy! Poświęćmy ten rok 1938 na zdobycie tego zaszczytnego tytułu: „prawdziwego sportowca“.

Niech nasz marsz ku ideałom sportowym będzie — prawdziwie zwycięskim!

Leszek Bartelski.

[1]) Patrz· L. Bartelski — „Kultura fizyczna a kultura duchowa“. Nr 7 „Sp. Szk.“.

SKOŃCZYŁY SIĘ FERIE...

ZAKOPANE W STYCZNIU

I już po świętach. Tak długo oczekiwane i tak prędko minęły. Szkoda. Przydałyby się drugie takie. Szczególnie, że w tym roku pogoda dopisała i wytworzyły się doskonałe warunki narciarskie. Już w dzień rozdania świadectw nawaliło masę młodzieży i dorosłych do Zakopanego i w Tatry do schronisk. Po świętach Bożego Narodzenia przybyła nowa porcja gości, tych sentymentalniejszych, co to wilię spędzają wyłącznie na „łonie rodziny”. Każdy przywiózł ze sobą narty i obiecywał sobie głośno lub pocichu, że wreszcie nauczy się jeździć. Częściowo zamiary te realizowały kursy dla początkujących, częściowo szkoła zjazdowa na Kasprowym, no a reszta jeździła gdzie i jak mogła. Przyjezdnej i stowarzyszonej młodzieży dostarczono trenerów. Zaraz się naturalnie ożywiła kolejka na Kasprowy i wszystkie „ośle łączki” zakwitły narciarzami. Wypadków złamań nóg było kilkanaście, a odłamane dzioby od nart wszędzie można znaleźć. Nie obyło się też bez omyłek: jakiś pan w wielkim zapale zamiast do Goryczkowej zjechał do doliny Cichej i na czeską stronę dostał się bez przepustki, jakaś pani pomyliła sobie grunt pod nogami i z rozpędu wylądowała na dachu szałasu. Wogóle ludzie robili co mogli, aby w stu procentach wykorzystać pobyt w górach. Tereny narciarskie odpoczęły sobie nieco 1-ego stycznia, bo wiara odsypiała Sylwestra, wyjątkowo wesoło w tym roku spędzonego.

Co do imprez, to z wyjątkiem mało znaczących biegów

płaskich nic się nie odbyło w grudniu ubiegłego roku. Dopiero styczeń tegoroczny przyniósł nam urozmaicenie. Już w pierwszą sobotę oglądaliśmy zawody łyżwiarskie o mistrzostwo Zakopanego w udziałem zagranicy: Niemców, Austriaków i Węgrów. Jazda figurowa pań i panów stała na wysokim poziomie i została nagrodzona głośnymi brawami zmarzniętych widzów. W niedzielę 2. stycznia ci sami zawodnicy wystąpili z popisem chwilami bardzo efektownym. Tego samego dnia w południe odbył się konkurs skoków na nowo przebudowanej skoczni na Krokwi.

Już na dzień przedtem w lokalach i na ulicach olbrzymie afisze ogłaszały sensację: próba pobicia rekordu skoczni przez



Staszka Marusarza. Licznie zebrana pod Krokwią publika nie doczekała się jednak spodziewanego wyniku. Rekord mimo brawurowych skoków nie został pobity. Stylem wybił się trener norweski Mitskau. Pozatem dwóch zawodników wybiło sobie zęby. Odwiozła ich karetka. Kilka dni po tym startowali już do biegu na 12 km. Trasa była bardzo ciężka „z szykanami". Potoki, płotki, rowy, ostre podchody, tu i ówdzie zjazdy „na brwiach" wypompowały doszczętnie siły zawodników. Jak na jeden raz — za dużo. Nie dziwota, że wielu zawodników pomyliło trasę. Niespokojnie kręcili się sędziowie, wyczekując swych faworytów. Najlepsi ze startujących jak Nowacki („Murzynek"), Rehrl, Karpiel, poszli sobie spokojnie inną drogą i spacerkiem przybyli do mety. Natomiast wschodzące gwiazdy. Stanisław Kula, Andrzej Pęksa i o wysokiej marce Tadeusz Wowkonowicz ukończyli bieg w dobrym czasie, wspaniałym stylem.

Nie ochłonęli jeszcze stali i czasowi mieszkańcy Zakopanego z wrażeń odniesionych ze skoków, które odbyły się w niedzielę 9.I br., gdy gruchnęła wieść: z suchego żlebu na Kalatówkach zeszła lawina. Zorganizowanej natychmiast ekspedycji ratunkowej udało się odkopać zasypanych narciarzy. Dwóch z nich przyszło wkrótce do przytomności, trzeciego mimo usilnych starań nie udało się uratować. W zmarłym rozpoznano adwokata zakopiańskiego dr. O. Wachsa.

Tragiczny ten wypadek wywołał wśród gości i mieszkańców Zakopanego duże przygnębienie.

Zakończenie feryj spowodowało znaczny odpływ gości, co niewątpliwie odbiło się na wyglądzie Zakopanego.

Ruch uliczny już nie tak silny, pensjonaty powoli pustoszeją. Pozostałych czekają jednak nowe atrakcje. Mianowicie 9.I br. rozpoczęły się jedyne w Polsce zimowe zawody konne z totalizatorem, które ściągają na trybuny rzesze zwolenników tego sportu.





Natura ciągnie wilka do lasu. Mistrz Polski w biegu przez płotki — Antoni Maszewski nie daruje płotkom nawet i na śniegu.

W sezonie tegorocznym Zakopane potwierdziło raz jeszcze znany frazes, że jest stolicą zimową Polski.

Zofia Malczewska.

CZY POSIADASZ ODZNAKĘ NARCIARSKĄ ZA SPRAWNOŚĆ?

Celem „Odznaki za Sprawność" jest budzenie jak najszerszego zainteresowania do ćwiczeń na nartach, zachęcenie młodzieży do racjonalnego uprawiania sportu narciarskiego, oraz utrzymanie sprawności narciarskiej do jak najpóźniejszego wieku. Do ubiegania się o odznakę dopuszczeni są wszyscy narciarze (obywatele polscy) także niezrzeszeni — w kategoriach: 1) młodzieży 12—18 lat, 2) starszych w wieku ponad 18 lat. Odznaka ma dla każdej kategorii trzy stopnie: brązowy, srebrny i złoty, które zdobywać można tylko kolejno.

Konkurencja o „Odznakę za Sprawność" odbywać się może: podczas specjalnych imprez dla odznaki lub też podczas oficjalnych zawodów narciarskich w kraju, mających odnośną zapowiedź. Wymagana jest zawsze obecność przynajmniej dwóch sędziów okręgowych PZN, stwierdzających prawdziwość wyników. Badanie lekarskie uczestników prób o odznakę jest obowiązujące. Odznakę zdobyć można tylko raz w roku narciarskim, a kilkakrotne próby są dopuszczalne.

Warunki zdobywania odznaki są następujące:

1) **Młodsi do 12—14 lat** dla odznaki brązowej mają osiągnąć: w biegu 4 km (w terenie pagórkowatym) czas minimum 0:40:00, oraz na małej skoczni skok bez upadku 8 m. Srebrną odznakę zdobyć mogą młodzi 12—14 lat przez trzykrotne powtórzenie powyższej normy.

2) **Juniorzy 15—17 lat,** mają osiągnąć dla odznaki brązowej: w biegu 9 km (w terenie pagórkowatym) czas najmniej 1:28:00 oraz na średniej skoczni skok z notą najmniej 11, o długości 13 m. Odznakę srebrną zdobyć mogą przez trzykrotne powtórzenie normy, lub przez polepszenie wyników: bieg 9 km — 1:18:00, skok-nota 13, dług. 15 m. Odznakę złotą — zdobywają młodzi 15—17 lat przez trzykrotne powtarzanie normy odznaki srebrnej.

3) **Dziewczęta 12 i 13 lat** mają dla odznaki brązowej przebiec 3 km (w terenie pagórkowatym) z minimalnym czasem 0:30:00. Odznakę srebrną zdobywają przez dwukrotne powtórzenie powyższej normy.

4) **Dziewczęta 14—16 lat** mają dla odznaki brązowej przebiec 4 km (w terenie pagórkowatym) z czasem 0:50:00. Odznakę srebrną zdobyć mogą przez dwukrotne powtórzenie powyższej normy, lub przez poprawienie wyników biegu 4 km — 0:45:00. Odznakę złotą zdobywają przez dwukrotne powtórzenie normy odznaki srebrnej.

5) **Narciarze w wieku powyżej 18 lat** mają dla odznaki brązowej przebiec 12 km w czasie minimalnym 1:30:24, dla odznaki srebrnej 1:12:00 (lub trzykrotnie powtórzyć normy dla odznaki brązowej), dla odznaki złotej 1:00:00 (lub trzykrotnie powtórzyć normy dla odznaki srebrnej).

6) **Narciarki w wieku ponad 17 lat** mają przebiec 8 km w terenie pagórkowym w czasie: dla odznaki brązowej — 1:10:00, dla srebrnej — 52:00, dla złotej — 48:00 (lub też trzykrotnie powtórzyć minimum niższej odznaki).

Proście pp. prof. Wych. Fiz. o zorganizowanie zawodów o odznakę P.Z.N. i bierzcie w nich licznie udział!

TRZY TYGODNIE POD ŚNIEGIEM

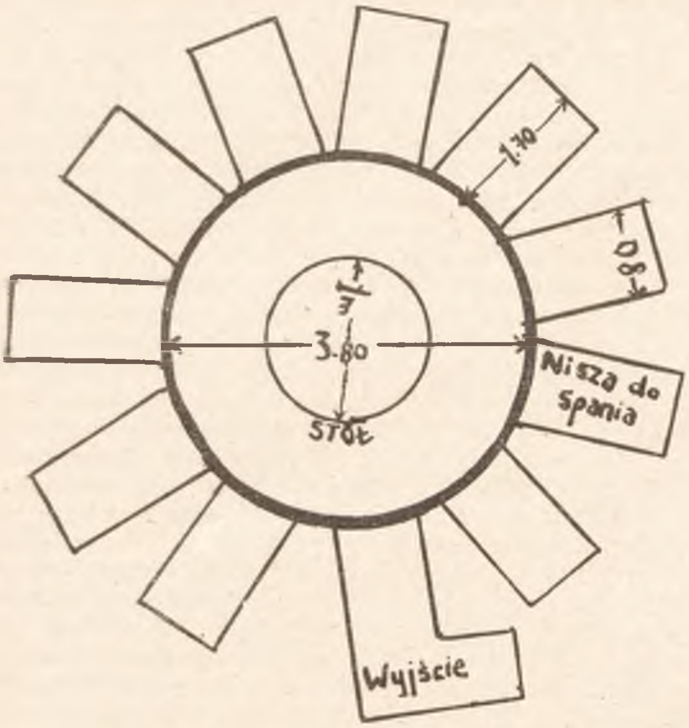
Już za parę dni ferie, a ja nie mogłem się zdecydować dokąd pojechać. Tu za drogo, gdzieindziej znów miejsce nieodpowiednie, a tam gdzie ja chciałem — nie mogli mnie przyjąć. Wreszcie posłyszałem o jakimś kursie obozownictwa zimowego, prowadzonego przez harcmistrza Makowskiego, Leszka Makowskiego. Dowiadywałem się co i jak. Jakieś domki lodowe, próby ekwipunku wysokogórskiego. Coś nie dobrze. Ale że to w 5 Stawach Polskich i niedrogo — więc ostatecznie się zgłosiłem. Komendant ostrzega, że wprawdzie będzie sporo pracy, że będziemy spali w igloo itd., ale kto w takie rzeczy by wierzył.

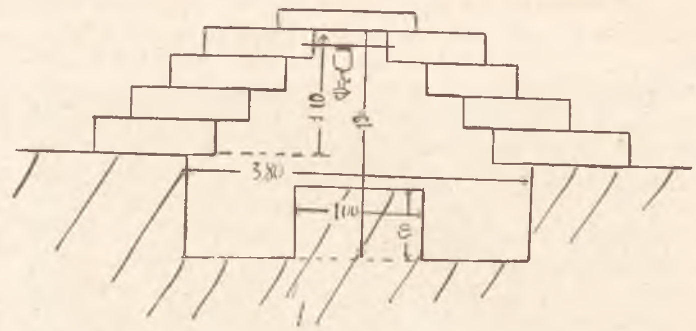
No i wyjechaliśmy. Początek nie był zbyt zachęcający, bo trzeba było przez parę ulic na własnych barkach przenieść na bagaż dwa wielkie toboggany, które były nie tyle ciężkie, co niewygodne w niesieniu. Droga przeszła przyjemnie, w Zakopanem zatrzymaliśmy się tylko parę chwil i autobusem przejechaliśmy do Siklawy przy wejściu do Doliny Roztoki. Śniegu mnóstwo, pogoda piękna — obóz zapowiadał się cudownie.

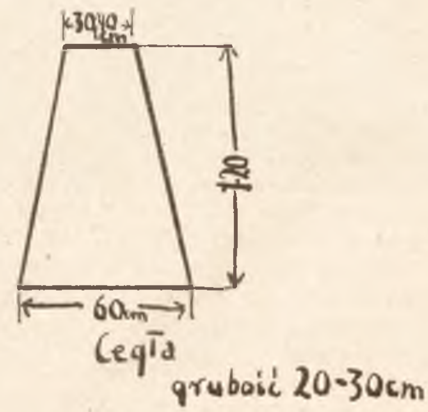
Następnego dnia załadowaliśmy nasze rzeczy, ekwipunek obozowy i żywność na pół obozu na toboggany. Wyglądały one imponująco. Długie na 4,5 m., szerokie 80 cm., niskie, na szerokich (12 cm.) płozach z trzema rowkami, naładowane naszymi rzeczami przypominały Londona i wywoływały z pamięci przygody na dalekiej północy. Brakowało tylko psów. Przeszkoda to jednak nie wielka. Sami uwiązaliśmy linki i uchwyciwszy je w dłonie, raźno ruszyliśmy w drogę. Po szosie to była igraszka. Jednak dalej... Kto zna wejście do Roztoki, wie jaka jest góra na początku. Górale, którzy widzieli co chcemy robić, mówili, że wyjechanie jest niepodobieństwem, na co druh Komendant tylko zlekka się uśmiechał. Wiedział co nas czeka. Sami możecie to ocenić na fotografii. Mogę powiedzieć, że wiem już dobrze, jak faraonowie budowali swe piramidy. Ale wszystko się kończy, więc późną nocą rozprostowaliśmy zmęczone i zmarznięte członki w pięknym schronisku u Jędrzeja Krzeptowskiego.

Następnego dnia pobudka o świcie. Niebo, 16 stopni i ani wietrzyku. Idziemy na dół do szałasu po resztę rzeczy.

Potem dni płynęły jeden po drugim. Nad nami prawie ciągle błękit nieba, dookoła wspaniałe w swym majestacie i grozie, niepokalane w bieli szczyty i granie Kozich, Miedzianego i Liptowskich Murów. A na dole, nad równą i przez tą swoją równość dziwny kontrast z poszarpanymi zboczami tworzącą powierzchnią Wielkiego Stawu, my, drobne mróweczki, od rana już dobywamy z kopalni piękne cegły z białego i zimnego złota. A potem z cegieł tych układamy piękne ule śnieżne, szykując sobie wspaniały pałac lodowy.









Ciągnąc toboggany — uprzytamnialiśmy sobie trud budowy piramid.



Wnętrze igloo. Zastawa stołowa, w głębi nisze do spania.



Pobudka!

Igloo budowaliśmy dwóch typów: według wzorów przywiezionych ze Szwecji i przeznaczonych dla turystyki, dla krótkiego biwakowania, i według pomysłu naszego Komendanta, przeznaczone dla dłuższego pobytu. Ponieważ budowa pierwszego typu była już szczegółowo opisywana w „Turystyce" więc nie będę o nim nic szczegółowego podawał. Okazało się, że z powodu swej wysokości i zbudowania na powierzchni śniegu jest ono bardzo fotogeniczne. Wszyscy nasi goście uważali sobie za obowiązek fotografowania się na jego tle. Jeżeli jednak idzie o mieszkanie w nim, to zawsze szczerze współczułem tym kolegom, którzy spędzali noce wewnątrz. Gdy temperatura zewnętrzna wynosiła np. 16 poniżej zera, to wewnątrz było aż minus 12. Takie cyfry podawał nam Tata Katatermometr, przemiły doktór Dybowski, który przy pomocy różnego rodzaju — Grafów, — Metrów i przedziwnie pokręconych rurek przeprowadził ciekawe badania naukowe naszej niedoli.

Nim opowiem o drugim—muszę słów parę poświęcić naszej kopalni. Budowa samego igloo jest łatwa i prosta, naturalnie jeżeli się wie jak to robić. Ale nawet nasz Komendant przestawał być Salomonem, jeżeli nie mogliśmy znaleść odpowiedniego śniegu, z którego można byłoby wycinać przy pomocy płatnicy piękne cegły. W poszukiwaniach takiego dobrego miejsca, zapełnionego uleżałym i mocno spoistym, starym śniegiem, zryliśmy całe zbocze górki sąsiadującej z naszym obozowiskiem. Za to kiedy raz się znajdzie już dobre miejsce — robota idzie migiem.

Igloo przeznaczone dla obozownictwa ma w średnicy około 4 m., a wysokości w samym środku 1.90 m. Kopuła jednak wystaje ponad otaczający śnieg tylko na 1.10 m. Cegły mają kształt ściętego klina o wymiarach jak na rysunku. Najpierw kopie się odpowiednią ilość cegieł (około 200) i gromadzi się je na miejscu gdzie ma być budowany domek. Sama budowa rozpoczyna się od zakreślenia koła. Wewnątrz staje najsprytniejszy „murarz". Jemu podaje się cegły i pomaga układać na obwodzie. Cała sztuka polega na układaniu ich nie w koła zamknięte na jednym poziomie, a ślimakiem. Wygląda to jakby ktoś budował drogę na szczyt niewidocznej, okrągłej góry, prowadząc ją pięknymi serpentynami. Czym bliżej góry tym cegły robi się cieńsze, aż do granicy dopuszczalnej ze względu na spoistość śniegu, z którego robi się cegły. Dobrze jest cegły układać nie poziomo, a nieco skierowane węższymi końcami ku górze. Zapobiegnie to później kapaniu wody do środka. Wreszcie igloo jest już zasklepione. Murarz kopie teraz wgłąb i pod ścianą boczną przebija sobie wyjście na zewnątrz. Przez to wyjście wchodzi teraz paru chłopców do środka i wybiera śnieg na 80 cm. wgłąb, pozostawiając tylko we środku stół o wysokości około 50 cm. i średnicy 1 do 1.20 m. Śniegu nie kruszymy na proszek, a łamiemy w bryłki takiej wielkości, aby mogły przejść bez trudu przez wykopany tunel. Po zakończeniu tej roboty przystępujemy do robienia „katakumb", tj. nisz przeznaczonych na spanie. Będziemy ich mieli 10, rozchodzących się promienisto. Wysokość ich wynosi 80 cm., szerokość około 1 m., a głębokość 1.70 m. Po usunięciu śniegu z wykopanych nisz, przystępujemy do zasklepiania ich. Bo tylki w wypadku, kiedy śnieg jest dostatecznie głęboko, będą one wyglądały, jak tunele, a to nie zawsze się zdarza. Zasklepianie odbywa się podobnie jak budowa domku. Układamy cegły jedna na drugiej, wysuwając je nieco do środka, aż zamkną niszę. Teraz obsypujemy całe igloo i nisze drobnym śniegiem dla zatknięcia szpar, jakie pozostały przy budowie i polewamy wszystko wodą, która wkrótce marznie i nadaje całej budowli wielką wytrzymałość. Teraz w niszach na wysokości 30 cm. od ziemi robimy w ściankach bocznych wgłębienia 10 × 10 cm. na całej ich długości. Na dwie żerdki o średnicy 5 do 8 cm. nawlekamy siennik i przybijamy rozpórki: jedną w nogach i dwie w głowach. Te ostatnie będą później jednocześnie służyły jako krzesło do siedzenia. Pozostaje nam tylko wsunąć ramę w rowki, wyżłobione w niszach i nasze łoże gotowe. Wreszcie przedłużamy tunel wyjściowy, załamujemy go pod kątem prostym, pokrywamy płytami śniegowymi i nasz wspaniały apartament lodowy gotów na przyjęcie drżących „królików doświadczalnych".

29-go wieczorem szyjemy śpiwory. Układamy koc, na to warstwę gazet, znów koc, jeszcze jedną warstwę gazet (razem tyle co mniej więcej 15 niedzielnych wydań Kuriera Warszawskiego), koc i prześcieradło. Zszywamy to wszystko starannie w kształcie worka. Śpiwór taki jest ciężki i szeleści jakby był pełen zeschłych liści, ale jest bardzo ciepły. Okazało się, że był cieplejszy od specjalnych śpiworów wysokogórskich z najlepszej watoliny i puchu.

Wieczorem zawieszamy wewnątrz igloo lampę spirytusowo-żarową i przenosimy nasze rzeczy do środka. Zimno i strasznie. Ale za to oczy mają używanie. Światło cudnie łamie się w śniegu, dając refleksy, o opisanie których nie ma co się kusić. To trzeba zobaczyć. A znów z zewnątrz kopułka wygląda jak alabastrowa. Widać ją z daleka jak cedzi zielonkawe światełko.

Wewnątrz wcale nie jest znów tak strasznie. Temperatura waha się koło zera (na zewnątrz było poniżej 26 — wewnątrz przeważnie — 2). Po paru minutach pobytu zaczyna kapać ze sklepienia, ale tak szczęśliwie, że tylko na stół. Po zapaleniu lampy i przy gotowaniu temperatura podnosi się ponad zero. Najwyższa notowana — +9. Po kolacji i kominku idziemy spać. Zdejmujemy tylko wierzchnie odzienie. Część z nas ma śpiwory „gazeciane" — inni watolinowo-puchowe. Leżymy na siennikach zawieszeni w powietrzu jak w hamakach. Wszystko jest dobrze, tylko nos trochę marznie. Chowam go pod skraj śpiwora i już dobrze. Z trwogą myślę co to będzie, jeżeli w nocy będę musiał się wybrać na Gładką Przełęcz. To jeszcze nic — ale jeżeli nie daj Boże na Zawrat? Brr... Tak myślałem pierwszej nocy. No i idąc spać ubierałem się dość starannie. Potem kładłem tylko skarpety. A pod koniec szkraby biegały sobie spokojnie zupełnie boso.

Rano prawdziwa tragedia. Jednemu buty tak zmarzły, że biedak nie mógł ich włożyć. Co tam się nie działo... Druh Komendant kazał wreszcie spoconemu ze zmęczenia biedakowi włożyć bosą nogę do środka i biegiem obejść stół sześć razy dokoła. Potem prędko zdjąć je, nałożyć pończochy a na nie z powrotem buty i znów biegać dokoła stołu razy trzydzieści sześć, aż wreszcie już bez trudu wlazły drugie i trzecie skarpety.

Potem śniadanie i na narty.

Kiedy fama się rozeszła po Zakopanem o szaleńcach zamrażających się w śniegu, goście tłumnie zaczęli nawiedzać Dolinę 5 Stawów. „Drzwi" — siennik zawieszony na trzech gwoździach „wbitych" w śnieg — się nie zamykały. Biadania nad dolą biedaków, słowa ironii, zachwytu, westchnienia zazdrości — niczego nie brakło. Były też i większe wycieczki: Polaków z zagranicy, kurs podharcmistrzowski.

Nocowało też wielu znakomitych gości wewnątrz, zamieniając się z nami na swe miejsca w schronisku.

Teraz z lekką wyższością patrzę na mych kolegów. Wiem już jaka różnica jest między naśladowaniem wielkich przygód Londonowskich, a braniem w nich udziału, siedząc spokojnie w fotelu i czytając piękną książkę.

No i wybieram się na następny obóz w igloo na Wielkanoc do Wyżnej Chochołowskiej:

Przyjdzie kto morowy,
Odważny i zdrowy,
Komu krzepy doda los.
Do nas, do nas, wejdź w lodowy dom,
Schowaj głowę pod śniegowy złom.
Ciągną toboggany,
Wiatrem osmagany,
Zaśpiewaj że sobie w głos.
Do nas, do nas, wejdź w lodowy dom,
Schowaj głowę pod śniegowy złom.

(Wyjątek z piosenki obozowej na nutę „Hymn włóczęgów).

Uczestnik.

KRZYK
(NOWELA SPORTOWA. DOKOŃCZENIE)

— Baaammm!

Ryk!! Ryk, jakiego nie słyszano w Sztokholmie. Prawdziwy północny sztorm — publiczność czuła się szczęśliwa.

Siwkowski płakał, Kurzela też.

— Poddamy cię! — zapytali.

Spojrzał na nich jakimś dziwnie gniewnym wzrokiem.

— Co? Ani się ważcie! — warknął.

Gong!

Ruszył pewniej, budził się. Teraz już chciał wygrać, choć nie czuł absolutnie żadnej w sobie siły, choć nie miał żadnych już szans.

Szwed od razu machnął swingiem, bo przecież miał przed sobą człowieka, który za chwilę będzie leżał bezwładnie u jego stóp, u stóp zwycięscy, u stóp mistrza Europy!!

O dziwo! Swing nie doszedł. Terlica zrobił szybki unik, wszedł w zwarcie i poczęstował Handberga serią. Słabą serią, ale seria wprowadziła w zdumienie Szweda i całą publiczność. Ale to chyba agonia, przedśmiertne drgawki!

Handberg znów zaatakował — ciosy poszły w próżnię. Polak z najwyższym wysiłkiem skontrował, potem uciekł przed rogiem, nurkując pod rękawicami przeciwnika i stał już na środku ringu. Przychodził prawie do siebie. Szwed rzucił się na niego, jak jastrząb, kiedy widzi, że pewna zdobycz wyrywa się mu ze szpon. Ale napotkał na opór. Z całej lawiny jego ciosów doszły zaledwie dwa, sam natomiast otrzymał solidną porcję.

Cała widownia wyła.

— Hand-berg! Hand-berg! Hand-berg! Hand-berg!

Walter uśmiechnął się — pierwszy raz w tej walce i zaraz uczuł piekący ból w twarzy, ale tamten jego krzyk, co rozdarł jego duszę, nie pozwolił ugiąć się kolanom, choć czuł, że chciałby paść. Wyrzucił natychmiast na nadskakującego Szweda rękawicę, zastopował go, poprawił z lewej ostatkiem sił, resztkami tego, co w nim żyło...

Co to tak ucichli wszyscy? Słychać by było brzęczenie komara, gdyby tu leciał... Cisza, straszliwa cisza... Ktoś wymawia tylko cyfry kolejno. A, to sędzia... Terlica popatrzał. Przeciwnik jego leżał na środku ringu bez sił.

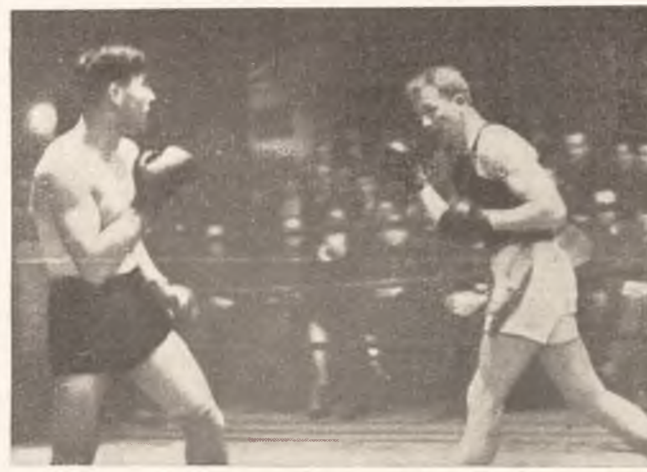
— ...dziewięć!...

— ...dziesięć! Out!

Wrzask... Nie słyszał już dalszych jego przeobrażeń, upadł wprost w ramiona Kurzeli i czuł jego łzy na swojej twarzy. Stracił przytomność...

•

Nikt nie spotykał mistrza Europy, cudownego triumfatora największego turnieju kontynentalnego, w jego rodzinnym mieście. Nikt nie wiedział, kiedy wraca. Było mu to obojętne. W ogóle zobojętniał na cały świat, to też mile przyjął głuszę stacyjną, która doskonale hormonizowała się z tą pustką, którą czuł w sercu.



Mistrz Europy — Chmielewski w walce z Fabisiakiem — Warszawa.

— Walter!

Spojrzał ponuro — Wawryłko!!!

— Czego? — wyszedł mu charkot z krtani.

— Posłuchaj mnie. — Głos Wawryłki brzmiał ciepło i prosząco. — Może nie zechcesz wybaczyć, ale posłuchaj mnie, bo dłużej nie mogę już — jęknął.

— ? ?

— Ta depesza — to moja robota. Hanka jej nie wysyłała...

Terlica zacisnął dłonie, ale równocześnie jakaś błogość rozlała mu się po sercu.

— ...ale, widzisz, zawsze zdawało mi się, że cię nienawidzę. Byłem zaślepiony i wysłałem tę depeszę w nadziei, że ona tak cię poruszy, iż nie będziesz miał sił na stoczenie finałowej walki. Pamiętałem o laniu, coś mi kiedyś sprawił...

Głos mu się załamał.

— ...ale dopiero Hanka mnie otrzeźwiła. Słuchaliśmy w „budzie" transmisji z finału. Cały czas patrzyłem na nią. Nikt nie rozumiał, co się z tobą stało. Przecież cała Europa święcie w ciebie wierzyła. Tylko ja jeden... Słuchamy: .....osiem... Terlica wstaje... Proszę państwa, nie wiemy, co się z nim dzieje... Chory, czy... Jezusie! Handberg ładuje straszliwy hak... Terlica bluzga krwią... pada..."I nagle straszliwy krzyk. Spojrzeliśmy w tę stronę — to Hanka. Zemdlała równocześnie z tym, jak tyś padał na ringu. I pomyślałem, że jestem strasznym łotrem, że nie warto, żebym żył na świecie... Ukarz mię — wyrzekł mocno.

Walter oniemiał wzruszony. Krzyknęła — a więc naprawdę słyszał jej krzyk. To nie była złuda!?

— Walter!

Terlica spojrzał cieplej na Wawryłkę.

— Stefek! Słyszałem ten krzyk. On mię uratował. Gdy waliłem się z nóg, zdawało mi się, że słyszę Hanki rozpaczliwy krzyk...

A potem dodał:

— A ty nie chciałbyś być takim dla mnie, jakim byłeś niegdyś?

Wawryłko chwycił jego dłoń.

— Walter! — szepnął przez łzy.

Panu Witoldowi Majchrzyckiemu
nowelę tę poświęcam.

Jerzy Tonaczew — Kowel.

MOJE WSPOMNIENIA ZE SZKOŁY PILOTÓW MOTOROWYCH W MASŁOWIE

(Ciąg dalszy)

Jeśli chodzi o uczniów szkoły, to okres obfitujący w najliczniejsze przygody i wypadki zaczął się od dnia laszowania. Nieraz drżeliśmy o życie kolegów, którzy wyprawiali w powietrzu istne cuda. Był między nami jeden specjalista, który kosił kołami zboże na skraju lotniska przy podchodzeniu do lądowania. I choć przyznać trzeba, że robił to z talentem, dostawał za to straszne wymyślanie. Porzucił tedy znękane zboże i zabrał się do kartofli. Lecz tu szczęście mu nie dopisało. Lądując wpakował się w zagon kartofli i zrobić klasyczny kapotaż. Maszyna zaryła motorem w ziemię, stanęła dęba, pohuśtała wylęknionego i niedoszłego pilota i zrezygnowana runęła na plecy, częstując swego zabójcę obfitą porcją ziemi. Niejeden biedak pocił się aby wylądować — i nie mógł. Podchodził do lądowania po kilka razy i zawsze spatałaszył. Byli tacy, których nazywaliśmy kangurzystami, a to dlatego, że przy lądowaniu maszyna skakała na wysokość kilku metrów, i nieraz musieli ją ratować daniem gazu. Mieliśmy też i dobrych pilotów, latających z fasonem. A znalazł się nawet taki co latał nad obóz harcerek i rzucał miłosne liściki, za co został zawieszony w lotach na trzy dni. Największe cuda można było oglądać w okresie wykonywania warunków. Niejedno lądowanie na sygnał zepsute było dodaniem gazu. Niejedno lądowanie polowe wypadło daleko poza prostokątem. Nieraz maszyna zanadto przeciągnięta, za wcześnie przypadała do ziemi. A już spirale pochłonęły najwięcej wysiłków i starań, chociaż nie zawsze uwieńczonych dobrym wynikiem. Lecz zapał i stanowczość razem z młodzieńczym uporem przełamały niejedną trudność. Wielu uczniów wykonywało nieraz warunki nie gorzej od samych instruktorów.

Ja sam przeżywałem masę wspaniałych momentów.

Pierwsze wspomnienie, które jest dla mnie bodaj, że najmilsze, związane jest z moim pierwszym samodzielnym lotem. Do zwiększenia emocyj i wrażeń przyczyniło się wiele rzeczy. Tak się złożyło, że laszowałem się sam jeden. Poza tym do ostatniej chwili nic nie wiedziałem, że będę laszowany. Mój instruktor tylko od samego rana dziwnie się uśmiechał, co mnie trochę zaintrygowało. Kiedy znaleźliśmy się na starcie, podszedł do mnie szef pilotażu i powiedział, że polecę z nim, ponieważ chce zobaczyć jak latam. Polecieliśmy. Przerobiłem z nim wszystko. W czasie lotu wyłożył ręce na burtę i w skupieniu obserwował moje manewry. Po wylądowaniu wysiada z maszyny nic nie mówiąc, zapina pasy w pierwszym siedzeniu, a mnie każe zostać. W tej chwili dopiero zorientowałem się, co się święci. Ale nie miałem odwagi nawet myśleć o tym, patrzyłem tylko uważnie co będzie dalej. Szef wysiadłszy z mojej maszyny, wstrzymuje loty wszystkich pozostałych samolotów. Kiedy w powietrzu nie było już nikogo, daje mi sygnał do kołowania. Byłem bardzo wzruszony. Więc jednak laszują mnie. Opanowałem podniecenie i już dość spokojnie zakołowałem na start. Mój instruktor biegł przy skrzydle. Sygnał chorągiewką i startuję do pierwszego w życiu samodzielnego lotu. Maszyna lżejsza o jednego człowieka rwie w górę. Jestem sam. Czuję, że wszystko teraz zależy ode mnie. Już nikt nie poprawi mego błędu. O całości maszyny i mojej skóry ja decyduję. Nie widzę przed sobą pleców instruktora. W próżnej kabinie drążek sterowy rusza się jak żywy, naśladując moje ruchy. Robię rundę 4-ro skrętną. Wszystko wychodzi gładko. Pierwszy skręt nieśmiały, ostatni już głęboki, wykonany z pewnością. Zbliża się najważniejszy moment. Lądowanie — najtrudniejsza rzecz. Całą siłą woli staram się uważać na wszystko, aby dobrze wylądować. Zamykam gaz, sprawdzam szybkość planowania. Ziemia powoli rośnie i zbliża się do samolotu. Wreszcie ściągam delikatnie drążek, załamując kąt planowania. Przed maską z lewej strony stoi grupa, za nią samoloty. Ziemia zaczyna się znowu zbliżać powoli, jest już bardzo blisko, ściągam lekko drążek. Ostatni decydujący moment. Szybkim ruchem przyciągam knypel do końca, po chwili maszyna przytarła łagodnie kołami i płozą do murawy lotniska. Tak odbył się mój pierwszy lot samodzielny.



W górę instruktora!

(dok nastąpi)

Zbigniew Wojda
Gimn. Władysława IV.

„KNOCK-OUT"-KRAINA MARZEŃ

Boks mimo pewnych minimalnych odcieni brutalności, ma szerokie rzesze zwolenników. Któż z Was nie widział odbywającego się meczu bokserskiego, kiedy sala lub cyrk wypełniony jest szalejącym tłumem widzów, których wzrok skierowany jest bezustannie na czworokątny ring. Tłumy zapaleńców opętane demonem szaleństwa zda się, że straciły zmysły. Powietrze sali rozdzierane jest nieprzerwanym grzmotem oklasków, tysiące nóg wali o posadzkę, aby zachęcić swego sympatyka czy to do dalszej walki (z chwilą gdy leży na deskach), czy do „wykończenia" swego przeciwnika.

Tymczasem na czworokątnej estradzie, dwaj klasycznie zbudowani zawodnicy, „uzbrojeni" w rękawice bokserskie okładają się wzajemnie, aby wywalczyć palmę pierwszeństwa. Walka kończy się albo remisem albo też zwycięstwem punktowym lub charakterystycznym „knock-outem".

To popularne wśród sportowców wyrażenie „knock-out", jest głównym celem walki pięściarskiej.

Prawdziwy „knock-out" nie jest wtedy, gdy jeden z zawodników pod wpływem uderzenia, przy pełnej świadomości oprze się o sznury ringu, czy też padnie na deski i da się wyliczyć.

Prawdziwy „knock-out" jest tylko wtedy, gdy przeciwnik pod naporem potężnego ciosu runie nieprzytomny, aby odejść w... Krainę marzeń i bujać w wyższych regionach.

Można by pomyśleć, że w tej to „krainie" przebywa każdy człowiek, który pod wpływem jakiegoś wypadku traci na pewien czas przytomność.

Na to możemy otwarcie odpowiedzieć. „Nie".

W tej to „krainie marzeń" przebywa tylko pięściarz, który uległ „znokautowaniu".

Ten tzw. „narkotyczny sen" owłada tylko zawodnikiem prawdziwie „znokautowanym".

Jak to się dzieje, co powoduje, że popada się w tak nader dziwny sen — pozostaje dotychczas zagadką nierozwiązaną.

Zagadką tą zajmowało się już wielu lekarzy psychologów i wybitnych pięściarzy — lecz dotychczas skończyło się na hipotezach. — „Narkotyczny sen" pozostaje nadal tajemnicą.

Ten dziwny letarg da się również podzielić na dwa rodzaje.

Pierwszy rodzaj zaistnieje wtedy, gdy przed „znokautowanym" zawodnikiem — przebywającym w „krainie marzeń" — rodzą się rozmaite wizje pełnych przygody obrazów i scen życiowych.

Po przebudzeniu — dany osobnik jest święcie przekonany, że powraca z tych „krain marzenia" — nie pamiętając równocześnie, że przed godziną lub dwiema walczył i uległ „knockoutem".

Drugi rodzaj „snu narkotycznego" jest nader dziwny i jeszcze bardziej zagadkowy.

Pięściarz, który ulegnie takiemu, pod wpływem zadanego ciosu pada na deski, „zasypia" — jednak potem powstaje i dalej walczy (nie zdając sobie z tego sprawy) — a nawet... zwycięża!

Taki to niesamowity wypadek wydarzył się królowi wszystkich wag Jack Dempseyowi. — W początkach swej kariery bokserskiej walczył z jednym ze swych groźnych przeciwników. W pierwszej rundzie Dempsey otrzymuje potężny cios w szczękę.

Kiedy padł, nikt nie wątpił, że walka skończona. Tymczasem Dempsey, zanim sędzia zdołał go wyliczyć — podniósł się — walczył jeszcze trzy rundy i... zwyciężył.

Po skończonym spotkaniu, Dempsey siedział w garderobie smutny i milczący, a kiedy managier jego poklepał go z zadowoleniem, Dempsey rzekł: „Nie gniewaj się — przegrałem, ten drab uderza jednak tak mocno".

Długo potem Dempsey nie dawał się przekonać, że zwyciężył.

Ta cala kwestia „knock-outu" — wydaje się nam nieprawdopodobną — a cynicy określą to bujaniem i zadadzą pytanie: „Przecież co tygodnia odbywają się mecze bokserskie, ale z takim wypadkiem nie zetknęliśmy się".

Na to odpowiem: „W taki „sen" nie zapadają pięściarze amatorzy, lecz najczęściej zawodowcy, którzy żyją, że tak powiem, w „atmosferze bokserskiej", których kariera życiowa zależy od boksu, którym boks daje wyżywienie, popularność i powodzenie".

Nasz „amatorski nieśmiertelnik" wkłada raz lub dwa razy na tydzień (w sezonie) rękawice, aby stoczyć trzy rundową walkę — a na drugi dzień musi zająć się swoją pracą zawodową i znów na pewien czas zapomina o boksie.

Willig Wilhelm — Bukaczowce.

Z BOISK SZKOLNYCH

1. Tabela obejmuje wyniki do Nr. 15 włącznie.
2. Przypominamy, że z wyników nadesłanych uwzględniamy jedynie te, które są poświadczone przez wychowawcę fizycznego i podają datę, miejsce i charakter zawodów.



3. Nie uwzględniliśmy do tej pory: wyników, nadesłanych przez Grójec w Nr 11. Uzyskano je w roku kalendarzowym 1937, a nie w szkolnym 1937/38.

10 NAJLEPSZYCH WYNIKÓW UZYSKANYCH W R. SZK. 1937/38 R.

Pchnięcie kulą 7 1/4 kg.

Rek. świat. Torrance (USA) 17, 40.
1-szy w Polsce — Gierutto 15,55.
10-ty — Siebert 13,38.

1. Zdzitowiecki (Długosz—Wł.) 13,18.
2. Janke (Długosz—Włocł.) 13,01.
3. Okurowski (Ostrołęka) 12,83.
4. Hubeny (Chrobry—Grudz.) 11,67.
5. Józefowicz (Sob. Grudziądz) 11,38.
6. Nowicki (Przasnysz) 11,08.
7. Baliński (Końskie) 11,00.
8. Bujalski (Długosz—Włocł.) 11,00.
9. Kłoniecki (Pułtusk) 10,80.
10. Szałowski (Staszyc — Zgierz) 10,80.

Rzut dyskiem 1 kg.

1. Mierzejewski (KK 2—Rawicz) 50,31.
2. Szałowski (Staszyc—Zgierz) 48,90.
3. Gajewski (Lic. drog. W-wa) 46,66.
4. Hubeny (Chrobry—Grudz.) 43,24.
5. Reiske (MIKH—Chorzów) 42,44.
6. Pieńkowski (Pader.—Poznań) 42,12.
7. Nowaczyk (Marcink.—Pozn.) 41,99.
8. Ziętarski (Chrobry—Grudz.) 41,92.
9. Mokszki (Sobieski—Grudz.) 41,62.
10. Biedrzycki (Jasiński—W-wa) 41,43.

Rzut dyskiem 2 kg.

Rek. świat. Schroeder (Niemcy) 53,10.
1-szy w Polsce — Fiedoruk 46,36.
10-ty — Lewandowski 40,59.

1. Żurek (Płock) 38,51.
2. Szałowski (Staszyc—Zgierz) 35,75.
3. Okurowski (Ostrołęka) 34,85.
4. Huszcza (Augustów) 34,73.
5. Oleszczuk (PST—Wilno) 33,16.
6. Ginter (Szk. Handl. Wilno) 33,02.
7. Klem (Mickiewicz—Wilno) 32,97.
8. Rózga (Ostrołęka) 32,91.
9. Mierzejewski (KK 2—Rawicz) 32,15.
10. Baliński (Końskie) 32,00.

Rzut oszczepem 600 gr.

1. Ziranek (Kopernik—Bydg.) 46,87.
2. Werczewski (S. b. m.—Grud.) 46,36.
3. Krahn (Goethe—Grudz.) 45,55.
4. Dombrowski (Goethe—Grudz.) 45,46.
5. Hubeny (Chrobry—Grudz.) 45,40.
6. Paszkowski (Staszyc—Zgierz) 45,00.
7. Nikołaj (Piłsudski—Bydg.) 44,05.
8. Zasada (Sz. b. masz.—Gr.) 44,03.



Uczennice gim. warszawskich, które wzięły udział w pogoni za lisem — organizowanej przez Pol. Zw. Wych. Fizycznych w czasie kursu w Zakopanem.



Klasowy (IV) mistrz gimnazjum w Starogardzie, Od lewej: Gussman, Grajkowski, Olszewski, Czecholiński, Albrecht.

9. Pawłowski (Rydz-Śm.—Byd.) 43,28.
10. Katrusiak (Tarnobrzeg) 41,50.

Rzut oszczepem 800 gr.

Rek. świat. Jaervinen (Finlandia) 76.
1-szy w Polsce — Lokajski 63,90.
10-ty — Dudzic 55,27.
1. Żurek (Płock) 52,40.
2. Kostiuk (Lic. Krzem.) 49,86.
3. Kornalewski (Działdowo) 47,20.
4. Mierzejewski (KK 2—Rawicz) 46,42.
5. Jarząbek (PST—Radom) 45,40.
6. Litwińczuk (KK 2—Rawicz) 44,32.
7. Woźniak (KK 2—Rawicz) 44,25.
8. Kurowski (Ostrołęka) 44,20.
9. Sapiński (Ostrołęka) 44,10.
10. Papierzyński (Płock) 43,31.

Sztafeta olimpijska.

1. Korpus Kad. 2—Rawicz 3,32,4.
2. G. Jagiełły — (Płock) 3,47,5.
3. Gimn. klas. (Chorzów) 3,51,0.
4. Gimn. Ziemi Kuj. (Włocławek) 3,52,7.
5. Staszyc (Zgierz) 3,58,0.
6. Gimn. mat. przyr. (Chorzów) 4,02,0.

Sztafeta 4×100 m.

Rek. świat. USA 39,8.
1-szy w Polsce — Team Polski 42,2.
10-ty — ŁKS—Łódź 45,6.
1. KK 2—Rawicz 46,2.
2. Chrobry (Grudziądz) 47,0.
3. Szk. bud. masz. (Grudz.) 47,2.
4. Sobieski (Grudziądz) 47,4.
5. Paderewski (Poznań) 47,5.
6. Marcinkowski (Poznań) 47,7.
7. Leszczyński (Ostrołęka) 47,8.
8. PST—Wilno 47,9.
9. Mińsk Mazowiecki 48,2.
10. Jasiński (Warszawa) 48,4.

Sztafeta 4×100 m.

1-szy w Polsce AZS—W-wa 3,28,2.
10-ty Sokół Kryw. 3,45,6.
1. Chrobry (Grudziądz) 3,48,7.
2. Gimn. Ziemi Kuj. (Włocł.) 3,49,6.
3. Szk. bud. masz. (Grudz.) 3,54,2.
4. Goethe (Grudziądz) 3,58,7.

S. Suboczewski,
gimn. Mickiewicza, Warszawa.

STAROGARD.

Na terenie naszego zakładu bardzo ożywioną działalność okazuje sekcja ping-pongowa. Klasowym mistrzem tego gimnazjum jest piątka kl. IV w składzie: Albrecht, Czecholiński, Grajkowski, Gussman, Olszewski. Ma ona poza sobą z rozegranych meczy liczne zwycięstwa. I tak: z ważniejszych spotkań pokonała „Bursę" w stos. 6:3 i uległa 7:2; następnie zwyciężyła dwukrotnie 20 Druż. Pom. (gimn.) 8:1, 8:1, KSM w stos. 5:4, 5:4, SKS 6:3.

Poza tym odniosła dwa sukcesy z drużynami pozamiejscowymi.

Mistrzostwa indywidualne, które odbędą się w najbliższym czasie, budzą wielkie zainteresowanie, gdyż jest 15 graczy w wysokiej klasie, z których trudno będzie wyłonić mistrza.

Leo.





Bracia Klamerusowie — dzielnie skakali na ostatnim drużynowym konkursie skoków na Krokwi.



BIAŁE WSPOMNIENIA ZE SŁAWSKA.

Pierwsze moje przeżycia datują się z przed trzech lat i owiane są już siwą mgiełką czasu.

Otóż trzy lata temu wyruszyłem jako mały szkrab, z autentycznymi nartami, po raz pierwszy w życiu, na wywczasy zimowe do Sławska.

Nie byłem sam. „A zbójców było trzydziestu..." Na dworcu zapewnialiśmy mamusie, że nie ma się czego martwić, bo przecież i tak spać nie będziemy...

Gdy pociąg ruszył, zaczęło się rozlokowywanie naszych zacnych osób. Jechaliśmy jak w sleepingu. Cztery łóżka arcywygodne: 2 na dole na ławkach, dwa zaś „na pięterku" tzn. na półce od walizki. Nie chciałem, by mi „wiało" od podłogi, więc zgodziłem się chętnie na piętro.

A półka była z siatki sznurkowej, często gęsto przeplatanej żelaznymi prętami... Nieludzko więc obity, wyszedłem z ognistego smoka na szynach w Sławsku, z dobrą jednak miną (śnieg przecie wszystko wynagrodzi).

Wychodzę więc z wagonu, jako rzekłem z dobrą miną, pragnąc ujrzeć wreszcie te wspaniałe, ośnieżone szczyty, o których wczoraj mówił PIM w Warszawie.

Patrzę... i oczom nie wierzę... Święta Agnieszko! Czy ja śnię?!! Czy to nie fata morgana?!

Śnieg „zabrał się i poszedł"... Bydełko hasa beztrosko na zielonej trawce, drzewka pączkują sobie jakby to nie był 27 grudzień... Zda się, że za małą chwilkę gromada skowronków wyleci zza obłoconych szczytów, zwiastując nadejście wiosny... W grudniu...

A my tu z nartami! — Na letnie wywczasy! Chciało nam się płakać. Co za blamaż! Co za blamaż!

Górale pocieszają nas, że maleńki czopek śniegu bieli się na jednym z pobliskich szczytów. Wprawdzie to będzie ze 7 kilometrów, ale czegóż się nie robi dla śniegu!

Ostatecznie przejechaliśmy te 600 kilometrów koleją, dlaczegóż by więc nie można było zrobić jeszcze kilka kilo na autobutach.

Trochę pocieszeni poszliśmy w kierunku pensjonatu. „Trościan" się nazywał.

W czasie rozlokowywania rzeczy, w pokojach naszych działy się dziwne rzeczy... A więc najpierw zaczął dymić piecyk w sposób piekielny. Czym prędzej otworzyliśmy okno, lecz nim „wywiało" zrobiło się znacznie cieplej na dworze niżli w naszych apartamentach.

Zamknęliśmy więc okno i zaczęliśmy palić w piecyku. Po 10 minutach znów zaczął dymic... Otworzyliśmy okno, lecz nim wywiało zrobiło się... (czytaj jak wyżej).

I tak z 10 razy. Gdy wreszcie swawolny piecyk uspokoił się, otworzyły się cichutko drzwi i weszło do pokoju jakoweś „monstrum"... Czapka nasunięta na oczy, kołnierz na sztorc i... o Boże! Prawa ręka w kieszeni. Słowem najzwyklejszy opryszek, „ciemny typ". Sięgnąłem lękliwie po straszak, inni usiedli na łóżku blisko drzwi, gotowi każdej chwili do rejterady.

A on? — On — zamknął starannie drzwi, podszedł do... piecyka, pogrzebał chwilę w węglach, wyprostował się i rzekł najspokojniejszym głosem:

— O której panom przynosić ciepłą wodę do mycia? A kolacyjka na dole, czy tutaj?

Odrzekliśmy, starając się stłumić wzruszenie: „O ósmej, a kolacja na dole..."

Gdy się wierzeje zatrzasnęły „z tamtej strony", rzuciłem się wyczerpany moralnie na łóżko (oczywiście nie na swoje).

Co za dziwy. Bandyci „z urodzenia" lokajami w uczciwym pensjonacie...

Następnego dnia próbowałem dyskretnie wypytać tubylców o prognozy śniegowe.

Góral zapytany spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i rzekł flegmatycznie: „Musi być śnieg panoczku, musi..." Uradowany chciałem w tanecznych podskokach wracać do domu, gdy osadziło mnie w miejscu pośpieszne zapewnienie: „Chyba, żeby go nie było..."

Znając to Sabałowe powiedzenie, zgnębiony wróciłem do pensjonatu.

Zaczęły się dni ciężkiej pracy. Chodziliśmy te 7 kilometrów z deskami na ramionach, sondując błoto kijkami, by zaznać rozkoszy namiastki narciarstwa, użyć śniegu, dla którego przejechaliśmy 600 kilometrów.

Oczywiście smarowanie desek było rzeczą zbędną. Chyba, że ktoś miał „Trawol" lub „Glinoleum". Największą popularnością, jak to się zwykle dzieje na początku, cieszyła się technika padania na ziemię. To też wielu z rozkoszą zażywało tej ewolucji. Doszli w tym do perfekcji.

Zbliżał się koniec kursu. Był styczeń... Przybywało dnia, ubywało humorów. Aż wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Z nim, jak to zawsze bywa — śnieg.. upragniony śnieg...

Ale jaki! Olbrzymie płaty wirowały w powietrzu, pokrywały grubym całunem ziemię.

Puszysty śnieg padał, padał, okrywał wzgórza, doliny i szczyty, cicho, cichutko — na ironię losu...

O nie! — przysięgaliśmy sobie. Na przyszły rok nie będzie nas tu na pewno!...

Tymczasem byliśmy, śnieg okazał się gościnniejszym, no i w tym roku użyliśmy nart na zapas! **Su-ski.**



Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

HALLO! TU DUBNO!

NASZA PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ W HOKEJU.

Hokej, ten piękny sport lodowy.

Ileż miłych wrażeń wiąże się z nim. Nasze Gimnazjum nie posiada tak jak inne Gimnazja pięknej i odległej przeszłości. U nas sport hokejowy w całym tego słowa znaczeniu powstał w styczniu 1937 r. Do tego czasu uprawialiśmy ten piękny sport „prywatnie", to znaczy łamaliśmy gałęzie, które służyły nam za kije, krążkiem był kawałek gumy i tak grywaliśmy zawsze. Pomimo dużego zainteresowania, hokej nie przyjął się poważnie na tutejszym gruncie, bo trzeba przyznać, że jest to sport drogi.

Dopiero nadeszła zima 1937 r. a z nią „Zimowa Olimpiada" szkół średnich województwa wołyńskiego. Piękna ta inicjatywa wyszła z kuratorium wołyńskiego, a organizacji podjęło się Liceum Krzemienieckie, jako zaprawione w bojach sportowych i rozporządzające idealnymi wprost warunkami. Wobec pewnie postawionej kwestii igrzysk, zaczęliśmy się przygotowywać na miesiąc przed terminem. Były to początki stycznia. Przygotowywaliśmy narciarstwo, jazdę figurową, saneczkarstwo — o hokeju nie marzyliśmy nawet... bo nie mieliśmy czym grać! Raptem, na dwa tygodnie przed igrzyskami — grom z jasnego nieba, radosna, ale spóźniona nowina: Powiatowa Komenda PW i WF, z inicjatywy p. pkt. Wysockiego, zakupiła dla nas sprzęt hokejowy tzn. tylko kije, ochraniacze i ubiór bramkarza. Mieliśmy dwa tygodnie czasu. Trzeba było widzieć z jaką energią zabraliśmy się do treningu pod kierownictwem p. prof. Stankiewicza, który również jeżdżąc na łyżwach kierował naszym treningiem.

Nie odstraszały nas ani zamiecie ani dotkliwy mróz, trenowaliśmy prawie codzień tak intensywnie, że czasem chodzić było dla nas sztuką, ale dopięliśmy swego. To nie liczy się, że połamaliśmy trochę kijów, ale zgraliśmy się. Bo w każdym drzemały talenty, które z chwilą odzyskania możności wyzwolenia się, wybuchły z rzadką energię. I z tą energią pojechaliśmy do Krzemieńca. Igrzyska miały trwać 3 dni. Po przyjeździe, chcąc oswoić się trochę z lodowiskiem, zagraliśmy wieczorem mecz treningowy z Seminarium Duchownym. I oto przekonaliśmy się, że jest choć jeden przeciwnik ustępujący nam, który dał się pokonać 13 : 3.

Następnego dnia miał się rozpocząć turniej hokejowy. Wylosowaliśmy jako przeciwnika do eliminacji Gimn. Łuck. Przy obiedzie, rozmawiając z nimi, już jak pokonani ze zwycięzcą, bo gdzież liczyć na sukces z drużyną, która już tyle lat gra i tak jest wyekwipowana. Słuchaliśmy skromnie jak nasi przeciwnicy mówili, że dużo nam nie „wbiją" ot, tak w pierwszej tercji 3 do kółka, w drugiej dwa, a w trzeciej znów 3 do kółka — wróżyli nam 8 : 0, a myśmy słuchali myśląc: dobrze i tak, co może przecież być gorzej.

Przyszła godzina meczu. Łuck wyjechał na lód, wysokie, silne chłopy, świetnie wyekwipowani, przedstawiali się imponująco naprzeciw nas. My, w naszych swetrach, w czarnych pumpach, z łyżwami przykręcanymi i przywiązanymi do butów paskami, dzwoniąc śrubkami, przedstawialiśmy się gorzej niż opłakanie. Zaczął się mecz. Z początku dajemy się atakować, skutkiem czego, pada szybko bramka, lecz w chwilę po tym następuje oprzytomnienie; Dubno zaczyna atakować i... wyrównuje. Druga tercja mija bezbramkowo, w trzeciej, przy końcu, Dubno wspaniałym przebojem uzyskuje decydującą bramkę i wygrywa spotkanie.

Nie będę opisywał, jakie miny mieli nasi niedoszli „pogromcy". Weszliśmy do półfinału i spotkaliśmy się z Lic. Krzem. Tutaj poszło gorzej, bo choć mieliśmy szanse większe niż z Łuckiem, jednak nie potrafiliśmy wygrać i ulegliśmy 1 : 0.

Walcząc o trzecie miejsce natrafiliśmy na Gimn. Kowel, drużynę najlepszą po Mierniczej Kowel, i tu siłą rzeczy przegraliśmy 3 : 1. Mistrzostwo turnieju, a tym samym szkół średnich Wołynia zdobyła Państw. Szk. Miernicza Kowel, Dubno zadowoliło się czwartym miejscem.

Po turnieju pojechaliśmy do domu, uwożąc jako nagrodę 6 kijów hokejowych. Od tego czasu żyliśmy prawie wspomnieniami hokejowymi. Nie chcąc dopuścić znowu do zaniedbania tego sportu, organizujemy turniej o mistrzostwo klasowe Gimnazjum, które uzyskała niespodziewanie kl. II-b, przed ogólnym faworytem kl. IV.

I wreszcie na zakończenie sezonu zagraliśmy mecz z reprezentacją Dubna, którą pokonaliśmy 6 : 1.

Gdy zakończyliśmy sezon, jedyną naszą myślą było zdobyć jakieś umundurowanie. To też organizowaliśmy w ciągu lata różne imprezy sportowe i tak zebraliśmy z dochodów pewien fundusz, który po uzupełnieniu będzie nam mógł posłużyć do kupna umundurowania. **Nadeszły obecnie wieści, że również i w tym roku kuratorium wołyńskie organizuje „Olimpiadę zimową" w Krzemieńcu.**

Oby nam szczęście dopisało!

Obyśmy nie byli ostatnimi.

Dołożymy wszystkich starań, ażeby wyjść z honorem z wiru zmagań się o pierwszeństwo wśród przeszło 20 szkół średnich Wołynia.

Nie damy się!

T. Pojmański,
Gim. Państw. w Dubnie.

„ORLĘ" — WARSZAWA.

Na jednym z pierwszych zebrań Zarządu, została mi powierzona funkcja „łącznika", między „Sportem Szkolnym", a naszym Kołem Sportowym. Koło Sportowe „Orlę" istnieje na terenie I Miejskiej Szkoły Rękodzielniczej już bardzo dawno, bo blisko 10 lat.

Niedawno dopiero zaczęłyśmy brać udział w rozgrywkach międzyszkolnych, lecz z wynikiem na razie dla nas ujemnym. Nie tracimy jednak nadziei, że przy wielkiej pracy i zwiększeniu ilości godzin ćwiczeń cielesnych (do tej pory szkoły zawodowe miały tylko 1 godz. tyg., więc trudno nam się było mierzyć ze szkołami, które miały 2 godz. tyg. ćwiczeń i 2 godz. gier) i my może kiedyś dojdziemy do finału. W każdym razie trenujemy na razie bardzo zawzięcie i za pośrednictwem „Sportu Szkolnego" zapraszamy koleżanki z innych szkół o skomunikowanie się z nami, celem rozegrania spotkań towarzyskich w piłce siatkowej. Prócz gier sportowych, wspólnie z II Miejską Szkołą Rzemieślniczą, która sąsiaduje z nami, zorganizowaliśmy już 2 rok z rzędu lekcje tańca, które cieszą się ogromnym powodzeniem.

Corocznie organizujemy kilkudniową wycieczkę.

Byłyśmy już w Puławach i Kazimierzu (2 dni), w Płocku (3 dni.) W tym roku wybieramy się do jezior Augustowskich.

Halina Kałasówna
członkini Koła Sportowego „Orlę"
przy I. M. S. R.

LUBLIN.

W ciągu miesiąca grudnia sekcja gier lubelskiego MKS-u odniosła szereg dalszych sukcesów. Drużyna żeńska pokonała Związek Strzelecki 2:1, mając przewagę zwłaszcza w III secie.

Drużyna męska MKS-u, była jedyną, która pokonała goszczący w Lublinie AZS lwowski.

Po bardzo zaciętej i wyrównanej walce uczniowie wygrali w stosunku 2:1 (15:12, 14:16, 15:13), podczas, gdy wszystkie kluby dość wysoko gościom uległy. W tydzień potem zespół męski spotkał się z klubem LWS i tu uczniowie wykazali swą wyższość, bijąc jeden z silniejszych klubów miasta 2:1 (15:5, 10:15, 15:13). Następnego dnia ten sam zespół uczniowski spotkał się z przebywającą wtedy w Lublinie drużyną „Polonii" warszawskiej. MKS stawił warszawiakom bardzo zacięty opór, jednak w końcu musiał ulec silniejszemu i lepszemu przeciwnikowi. Polonia wygrała w stosunku 2:0 (15:7, 15:9). Gra była chwilami równorzędna, a nawet w pewnym momencie w drugiej partii MKS prowadził różnicą 2 punktów.

Przegrana z Polonią była jedyną w roku 1937 porażką MKS-u.

Jerzy Szulc

SPORT W HARCERSTWIE





36 D. H. z Żyrardowa pod n. Mazowsze zdobywa mistrzostwo w koszykówce. Od lewej: Michalak, Kasparek, Wilkowski, Targowski, Pindor, Zaremba, Kozłowski, Cywiński, Gozde. U dołu: Wolniewicz, Ciesielski, Gutowski.

MAZOWSZE.

ELIMINACJE PRZED MISTRZOSTWEM POLSKI.

2.I.38 odbyły się w Warszawie mistrzostwa Mazowieckiej Chorągwi Harcerzy, będące jednocześnie eliminacją do harcerskich mistrzostw Polski w piłce ręcznej.

Wyniki techniczne w siatkówce były następujące: Żyrardów—Pruszków 20:12 (13:5; 7:7;). Brwinów — Grodzisk Maz. 24:11 (14:5; 10:6;).

Finał przyniósł zwycięstwo drużynie żyrardowskiej po zaciętej walce 19:14 (16:4; 3:10;) skład drużyny: Cywiński, Kozłowski, Pindor, Targowski, Wolniewicz i Gutowski. Najlepszym na boisku okazał się Cywiński. Sędziował dobrze kom. Starzyński z komendy Chorągwi.

Mistrzostwa koszykówki rozpoczął mecz między drużynami Brwinowa i Grodziska, zakończony zwycięstwem drużyny brwinowskiej w stosunku 12:9.

W drugiej grupie Żyrardów pokonał po pięknej walce Pruszków w stosunku 59:22 (do przerwy 32:5).

Finały mistrzostw w koszykówkę nie odbyły się, gdyż drużyna brwinowska wycofała się. Do Łodzi wyjeżdża reprezentacja 36 MDH z Żyrardowa w składzie: Kozłowski — Pindor — Cywiński — Ciesielski — atak, Gutowski — Kasparek — obrona. **„Tropiciel"**



HKS Wilno zdobywa 1 miejsce w siatkówce. Od lewej: Wróblewski, Kożan, Brazowski, Nitosławski, Łokuciewski, Sieniuć. Na dole: Szuba, Nowicki, Pawłowski.

MISTRZOSTWA POLSKI W GRACH SPORTOWYCH.

W dniu 5 i 6 stycznia w gmachu Polskiej YMCA w Łodzi odbyły się Harcerskie Zawody o Mistrzostwo Polski w siatkówce i koszykówce.

Udział zgłosiło osiem zespołów: Lwów, Wilno, Toruń, Mazowsze, Białystok, Poznań, Kraków i Łódź. Były to mistrzowskie zespoły, wyłonione przez eliminacje w poszczególnych Chorągwiach. Warszawa w ostatniej chwili udział swój odwołała.

W siatkówce zespoły podzielono na dwie grupy.

Z grupy pierwszej do finału zakwalifikował się świetny zespół Wilna (3 miejsce w okręg. A klasie) bijąc Lwów (4 miejsce w okręg. A klasie) 2 : 0 (15 : 7; 15 : 12) Toruń i Mazowsze.

Z grupy drugiej do finału zakwalifikował się zespół Łodzi bijąc łatwo zespoły Białegostoku, Krakowa oraz Poznania (v.o.).

W finale zwycięstwo, po zażartej walce, odniosło Wilno bijąc Łódź 2 : 1 (15 : 11; 11 : 15; 15 : 3).

W koszykówce gra była przeprowadzona systemem eliminacyjnym. W ćwierćfinale Toruń wygrywa ze Lwowem 28 : 19 (17 : 14), Kraków przegrywa z Mazowszem 26 : 53 (22 : 20), Łódź eliminuje Wilno 30 : 19 (12 : 21) a Białystok po fenomenalnej walce wygrywa z Poznaniem 43 : 41 (25 : 21).

Mecz Poznań — Białystok był tak piękny, że należy napisać o nim osobno. Poznań, mając w swoim zespole olimpijczyka Grzechowiaka, członka KPW Poznań, był ogólnym faworytem. Tymczasem drużyna Białegostoku zrobiła niespodziankę, pięknie wygrywając pierwszą połowę 25 : 21. Na trzy minuty przed końcem 2 połowy Białystok prowadzi 36 : 31 i traci gracza, grając od tej pory we czwórkę. Poznań w mgnieniu oka wbija trzy kosze: stan 37 : 36 dla Poznania. Wykorzystanym karnym Białystok wyrównuje na 37 : 37.

Wśród nieopisanej wrzawy dopingującej publiczności gracze Białegostoku dwoją się i troją i przy ogólnym entuzjazmie kończą w pięknym stylu wynikiem 43 : 41, różnicą 1 kosza bijąc zespół Poznania.

Szalone tempo, precyzja strzałów (wychodziły kosze strzelane z połowy boiska) oraz czysto sportowa gra stawia ten mecz bez zastrzeżeń na poziomie mistrzostw Polski.

Również na takim samym poziomie stały mecze półfinałowe Białystok — Łódź 33 : 25 (18 : 13) oraz Mazowsze — Toruń 36 : 19 (14 : 11).

W finale Mazowsze zajęło pierwsze miejsce, odnosząc zdecydowane zwycięstwo nad Białymstokiem 41 : 28 (22 : 12). W Mazowszu imponowała niezwykła precyzja podań i strzałów, no i trzeba przyznać, że Mazowszu dopisywało szczęście, strzelano kosze przez całe boisko spod swojego kosza.

Mistrzowska drużyna Wilna w siatkówce i Mazowsza w koszykówce zdobyły przechodnie puchary ufundowane przez G. Kw. Harcerzy.

Zawody stały niespodziewanie na bardzo wysokim poziomie i prowadzone były w czystej atmosferze sportowej. Sędziowali dobrze p. Ejme, Przygoński, Dominiak, Nowak, Nowicki i Szadejko. Na wyróżnienie zasługują sędziowie p. Misiak siatkówka oraz p. Kościelski koszykówka.

Zawody w drugim dniu zaszczycili swoją obecnością p. wojewoda Łódzki Hauke-Nowak, Dca OK Łódź gen. Langner Władysław, Prezydent miasta Godlewski oraz Przewodniczący Zarządu Okręgu ZHP p. inż. Wojewódzki.

Organizacja zawodów spoczywała w rękach Zarządu HKS Łódź z p. dyr. Albinem Grabowskim na czele i była przeprowadzona sprawnie.

St. Simon phm.

„WYRYPA" DO PIĘCIU STAWÓW.

Zachrypły głos zastępowego służbowego wyrwał nas prawie cudem z lodowatych objęć mroźnej sypialni schroniska w Roztoce. W kilku susach, przy dźwiękach „Pieśni włóczęgów" i ponurym, rytmicznym chrzęście przemarzniętych stawów, znaleźliśmy się w ciepłej sali jadalnej, gdzie dopiero potężna menażka gorącej herbaty rozbudziła w naszych umysłach pełną świadomość czekającego nas dzisiaj zadania. Otóż zadaniem tym było osiągnięcie doliny Pięciu Stawów Polskich, czyli, jak się wyraził jeden z wybitnych pesymistów, doliny białych grobowców. Miano to, całkowicie niesłuszne zresztą, zyskały sobie śnieżne chaty zbudowane rękami uczestników kursu HKN. Kurs obozował tam około 3 tygodni, badając warunki i możliwości zamieszkania w śnieżnych „igloo".

Niewiadomo nawet z jakiego powodu, obóz w 5-ciu Stawach otoczony był gęstą mgłą tajemniczości i dlaczego krążyły o nim tak dziwne i „niesamowite" legendy. Dość na tym, że fakty te niezmiernie zachęciły cały nasz kurs podharcmistrzowski do zbadania i wyjaśnienia tej frapującej zagadki. Z podświadomą pomocą przyszła nam także sama Komenda Kursu, która chcąc nas, przyszłych instruktorów harcerskich, zapoznać z najnowszymi zdobyczami obozownictwa zimowego, zdecydowała się zorganizować tę tatrzańską wyprawę.

Ustawieni więc w długiego węża ruszyliśmy na podbój Pięciu Stawów. Potężny to musiał być wąż, skoro rozciągnął się na przestrzeni 1/2 kilometrowej. Powolność zaś i jednostajność z jaką się naprzód posuwał, usprawiedliwiała całkowicie jego majestat i powagę. Z chwilą wejścia jednak na strome i kręte drogi leśne, gad ten zmienił się nie do poznania: kurczył się i rzucał jak grzechotnik, a chrobot jego cielska przypominał do złudzenia trzask łamanych nart, kijków, czy też innych składników sprzętu narciarskiego. Okryjmy to jednak tajemnicą, gdyż czuję, że i tak za dużo opowiedziałem. Dla odmiany więc zajmę się teraz moją skromną osobą. Zmusiły mnie bowiem do tego nadzwyczaj osobliwe okoliczności, które ku przestrodze innym chciałbym opisać. Trudno bowiem uwierzyć, aby człowiek, który wyruszył na wycieczkę jako rasowy narciarz, zmienił się w połowie trasy w równie rasowego funkcjonariusza Zakł. Oczyszcz. Miasta i to w dodatku w Tatrach, gdzie ta dobroczynna instytucja absolutnie nie ma racji bytu. Wyjaśnienie jednak tej kwestii jest nadzwyczaj nieskomplikowane i proste. Otóż w terenie górskim kijki narciarskie, narażone na intensywną pracę, muszą w 100% wykazać swą siłę i wytrzymałość. Los jednak chciał, że moje bambusy nie wykazały żądanych od nich zalet. Już po 2 godzinach bowiem, talerzyki wraz ze szpicami, przeorawszy kijki na całej ich długości, dotarły wreszcie do moich dłoni, rozszczepione zaś bambusy mogły śmiało konkurować z najbardziej stylowymi miotłami magistrackimi. Zauważywszy szybko, że przy takim doborze sprzętu mijam się całkowicie z narciarskim powołaniem, założyłem deski na plecy, aby po 20 minutach pieszej wędrówki stanąć w schronisku w Pięciu Stawach. Wspaniały obiad jakim nas mieszkańcy „igloo" poczęstowali, przełamał wszelką nieufność jaką do ich trybu życia i nich samych żywiliśmy. Doszliśmy nawet szybko do wniosku, że ludzie ci są całkowicie normalni i w zupełności do nas podobni.

Po jednodniowym pobycie u gościnnych „Eskimosów" i ich równie miłego i gościnnego wodza d-ha L. Makowskiego, nastąpił zjazd z 5-ciu Stawów do Roztoki. Tragedię tę, sięgnąwszy do słownika Wiecha, można by skreślić w jednym zdaniu: ogólna cykoria itd. Sam ze swej strony dorzucę jedynie maleńką uwagę, że spodnie i zęby spełniają przy zjazdach bezwzględnie pożyteczniejszą rolę niż narty.

Odmalowanie reszty szczegółów tego pięknego wyczynu sportowego, pozostawiam wyobraźni Sz. Czytelników.

Uczestnik Kursu Podharcmistrzowskiego
T. Jezierski.

NASZYM CZYTELNIKOM DO WIADOMOŚCI.

Zawiadamiamy, że główna administracja „Sportu Szkolnego" mieści się obecnie przy ul. Myśliwieckiej 3, tel. 9-95-62.

Dla wygody naszych abonentów otworzyliśmy oddział miejski, przy pl. Piłsudskiego 1. Tel. 200-55.

Zamówienia na prenumeratę przyjmujemy również telefonicznie: 8-63-66.

Wszystkie reklamacje prosimy zgłaszać do administracji głównej: Myśliwiecka 3, tel. 9-95-62.

Administracja.

Redakcja, tel. 8-63-66 i Administracja, tel. 9-95-62, Warszawa, ul. Myśliwiecka 3

Oddział miejski: Pl. J. Piłsudskiego 1 tel. 2-00-55.

Wydział ogłoszeń: Myśliwiecka 3. Tel. 8-63-66.

Prenumerata miesięczna 80 gr, kwartalna 2 zł 20 gr, roczna (10 miesięcy) 7 zł.

Pocztowe konto rozrachunkowe Nr 119 **Konto P. K. O. 13.693**

Ogłoszenia: przed tekstem 1/1 300 zł, 1/2 150 zł, 1/4 80 zł 1/8 50 zł. Za tekstem 1/1 250 zł, 1/2 130 zł, 1/4 75 zł, 1/8 40 zł.

REDAKTOR: LECH GÓRSKI WYDAWCA: „KULTURA FIZYCZNA" sp. z ogr. odp.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od 18—20

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, Sienna 15.